

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 27 listopada 1909 r.

№ 48.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

35

Powieść historyczna.

— Desztrung! — mruknął Półnos.

— Skąd? Z kim! Nie podobna! — uniósł się pan Kleczkowski. — Chyba, żeś pan zełgał i w Deguciach nie był...

— Jakto zełgał! — Hola, jak pan śmiesz...

Półnos nie dokończył, bo tuż rwany trzask salwy karabinowej, a za nim strzały pojedyncze ozwały się z tej samej strony.

— Formować plutony! — zakomenderowała donośnie hrabianka.

W kolumnie zgiełk się wszczął.

— Mości Buchowicz z kawalerią za mną! Pan Kleczkowski ze strzelcami będzie następował wprost na strzały! Stęgnięło z kosami za nim!

— Na Boga, mościa hrabianko! toć lepiejby języka! — upominał pan Kleczkowski. — Właściwie nie wiadomo: z kim, gdzie i jak?..

— Nie czas na debaty! Słuchać! Imć Prószyński trzymać będzie dowództwo. Kawaleria za mną... w konie!

Anglez hrabianki, naciśnięty ostrogami, dał szczupaka w bok i powiódł gromadę jezdnych łąką w stronę strzałów, które teraz już z tyralierska się sypały.

Konie rwały z kopyta, wypryskując kawały żłodzi a tratując odważnie lodowe kałuże. Oddział zbliżał się szybko, już widział ogniki,

poprzedzające każdy strzał, już słyssał ponure warczenie bębna, już odróżniał niemilknący głos komendy.

Bitwa, i bitwa z wojskiem regularnym, wrzała tuż, kłębiła się w ciemni.

Lecz równocześnie Półnos, który na swym dereszku angleza Emilii się trzymał zawzięcie, wrzasnął z desperacją.

— Stać, ani kroku!

— Co waćpan!

— Oparzeliska! — stęknął Półnos, mocując się z dyszącym a szarpającym się koniem.

Oddział stanął, jak wryty. Śród pustki czarnej — nic krom poziomo łyskających ogników.

— Trzeba na piechotę! — Inaczej ani myśli!

— Zsiadać! — rozkazała hrabianka.

Naraz jeden z ogników hen ku niebu wytrysnął, sypnął pióropuszem skier, buchnął krwawym płomieniem i łunami światła rozdarł ciemń.

Oddział wydał okrzyk zgrozy. Teraz o kilka stajañ widział, jak na dłoni, tuż pod gorejącą stodołą szamoczących się z zestrachanemi końmi kawalerzystów powstańskich, widział rozsypany dokoła nich łańcuch owsejowskich strzelców, usiłujących dać odpór pierścieniowi

ogników, mrugających ku nim z ciemni coraz pewniej, coraz równiej.

— Desztrung otoczony! — Wystrzelają ich co do nogi! Trza czekać na Prószyńskiego! — Chmarę wojska widać! — Nie poradzi! — Musi!

Hrabianka, która, pochylona na łękę, wpatrywała się w krwawy obraz, zatoczyła koniem wzdłuż rozszemranego, napoty spieszzonego oddziału.

— Na koń!

— Jakże bo! — Trza czekać! — Toć zguba! — odpowiedziały bezładne głosy.

— Milczec jeden z drugim! — zakrzyknęła z taką mocą hrabianka, że oddział zdrętwiał. — Kto tchórzem podszyty, niech zawraca, niech świętej nie uwłacza sprawie!.. Na koń! Ani pary z ust! Za mną! Oddział ruszył potulnie za Emilią.

Hrabianka, której łunami światła bijący pożar pozwalał doskonale oryentować się w okolicy, skręciła z mokradeł na wijącą się w pobliżu drogę i parła na zagajnik, rysujący się tuż za ciemnymi konturami sadyby.

W kilka chwil oddział dopadł zagajnika i pod jego osłoną zbliżył się na odległość strzału do pierwszych opłotków.

Bitwa wrzała tuż i zdawała się już szalę przeważać, bo łomataniu bębnow wtórowało raz za razem tryumfujące „ura! rebiata!” — bo śród kłębiącego się dymu widać było zbiegane konie bez jeźdźców, bo strzały od strony Desztrunga rzedły, ledwie dotrzymywały placu.

Emilia osadziła swój oddział, upatrując miejsca dla poprowadzenia ataku. Lecz pozycja była fatalną. Jedynym punktem widowym była gorejąca stodoła i zmieszana pod nią, stłoczona gromada powstańców, do której, niby do kotła na obławie, krzyżowy szedł ogień. Nieprzyjaciel ledwie gdzieś gdzieś łyśkał złotymi blachami na kaszketach. Ale wśród lepianek sadyby ani dostrzedz było można, gdzie miał rdzeń, gdzie najsadniej uderzyć nań, a gdzie szyk złamać.

Hrabianka skinęła na Półnosa. Ten w lot odgadł rozkaz. Zsunął się z deresza i, zawoławszy na dwóch najbliższych, aby szli za jego przykładem, skoczył wprost ku oplotkom.

Upłynęła nieznośnie długa chwila. Aż raptem, w trzech różnych stronach sadyby ogniste języki wdarły się na strzechy i wszystkie zakamarki dokoła krwawym światłem wypełniły, ukazując i tyraljerów piechoty i plutony, gotujące się do ataku na bagnety, i gromadę ciemną burłaków, stojących za plutonami z kołami i widłami.

Hrabianka dobyła pałasza.

— Naprzód! Wypuszczaj cugle!

Oddział rzucił się za Emilią, wpadł w uliczkę sadyby i sunął na burłaków. Ci roztrąceni szarżą wpadli na plutony piechoty i zmieszali je. Bitwa w okamgnieniu zamieniła się w rozprawę pierś z pierśią, bo obocześnie żołnierze Desztrunga rzucili się do ataku, szukając wolnej drogi dla połączenia się z odsieczą.

Zdawało się, że impet powstańców zdławi piechotę, bo ta chwiała się już, ustępowała w popłochu. Aliści, kiedy w zupełną miała pójść rozsypkę, zawarczały na nią bębny i, zanim powstańcy zdolali odpowiedzieć zwrotem na zwrot, zebrała się w szeregi i bluznęła z karabinów.

Szala znów przechyliła się na stronę regularnego wojska. Kawalerya bowiem hrabianki rozpierzchła się na wsze strony, nie mogąc opanować zestrachanych wierzchowców, oddział zaś Desztrunga ledwie kilkunastu strzelbami odpowiadał na rotowy ogień.

Hrabianka, widząc niemożność ponowienia szarży, zsunęła się z siodła i zawoławszy na najbliższych, aby za jej szli przykładem, pośpieszyła wesprzeć strzelców. Lecz spieszeni kawalerzyści nie posiadali dostatecznej liczby karabinków. Ogień powstański wzmógł się, lecz nie na długo. Piechota miarowym plutonowym ogniem razila coraz pewniej, coraz śmiertelniej.

Desztrung padł, zwalony kulą z rykoszetu, Kłeczkowskiemu karabinek wysunął się ze skrwawionego ramienia, w gromadzie powstańców każda salwa piechoty śmiertelne zbierała żniwo.

Bębny mocniej zawarczały. Szyk piechoty, targnięty chrapliwymi komendami, oddzielił trzy plutony i stanął na czele zgromadzonych burłaków, pochylając bagnety...

Gdy naraz za plecami zagrzmiął okrzyk zajadły:

— Wysi Wira!

A tuż za tym okrzykiem mrowie luda rzuciło się na jęgrów i burłaków.

Bój zawrzał straszny, nieubłany, śmiertelny bój. Piechota, rozbita na części, otoczona, naciskana ze wszech stron topniała w oczach. Raz jeden jeszcze warknął bęben, raz jeszcze zachrypiała rozpaczliwa komenda—a po niej już jeno szamotanie konwulsyjne, zgrzyt stali, jęk rannych, rżęzenie konających i wycie pijanych krwią zwycięzców.

Szary, mglisty brzask zgasił miedziane odbłaski, idące jeszcze z dymiącego pogorzelniska i obozujących pod niem powstańców wyrwał odrętwieniu.

Pracy było mnóstwo. Trzeba było poległych pogrzebać, rannych wrócić domom i strzechom, ład zaprowadzać w oddziałach, rozdzielać broń i potrzeby zdobyte czy porzucone, szukać prowiantu, pamiętać o strażach, o instrukcyi, o dostaniu języka.

Praca rozpoczęła się w milczeniu. Najodważniejszym ścisłało się serce na widok pławiących się we krwi ciał ludzkich. Dopiero, kiedy z mogiłami się załatwiono, kiedy ziemia przytuliła i zwycięzców, i zwyciężonych, obóz jakby ocknął się

z zadumy, jakby wyrwał się bolesnej rozterce i o wygranej zagadał bitwie.

Teraz z relacji pokiereszowanych burłaków i wynurzeń rannego śmiertelnie kapitana wyjaśniło się, skąd pod Deguciami wzięła się kompania piechoty. Owóz Półnos sprawiedliwie wypatrzył, iż piechota powlokła się ku Sołokom, jeno nie przewidział, iż burłaki z Degucia o nadciągających powstańcach doniosą kapitanowi i że temu przyjdzie ochota zawrócić i w zagrodzeniu drogi powstańcom szukać odznaczenia. Desztrung więc wpadł w zasadzkę i prawdziwie jeno do świadczeniu starego żołnierza i wielkiej odwadze swoich podkomendnych zawdzięczał możność dotrzymania placu regularnemu wojsku i doczekania się odsieczy.

Tak czy owak, powstańcy nie tylko pierwszy chrzest ognia wytrzymali, ale i sprawności niełada dowiedli. Tedy im dłużej debatowano nad szczegółami osiągniętego zwycięstwa, tem raźniej poglądano w przyszłość.

Jedna hrabianka nie dzieliła ukontentowania ogólnego, ona jedna doceniała, że wieść o tem pierwszym starciu lotem błyskawicy może zaalarmować dyneburski garnizon, Szyrmana ruszyć z Uciany i plan wyprawy na fortecę pogrzebać bezpowrotnie, a powstańców rozbić.

I stąd Emilia wszelkich sił dokładała, aby co prędzej dźwignąć oddział z pobojo wiska,—lecz daremnie. Tyle było do czynienia, tyle zachodu z organizacją, z przyjmowaniem nadciągającego ochotnika, z rannymi, że dzień cały zeszedł. Gdy zaś pod wieczór zbierano się do wymarszu, deszcz takimi potokami wody chlusnął, iż o ruszeniu oddziału mowy być nie mogło. Trzęsawiska bowiem, otaczające sadybę, jedną z drogami i wyniosłościami tworzyły rozciecz.

Po północy dopiero deszcz ustał, a wicher przejmujący zaczął poma-gać w obsiäkaniu kałużom.

DCN.



MARZYCIEL.

45

A swoją drogą zawiadowca łajdak i dziewczynie stała się wielka krzywda.

Chociaż—bo ja wiem...

...Byłem wczoraj u prezesa na przyjęciu! Już tam więcej nie pójdę, bo całe to ich jaśnie państwo wydaje mi się blagą na gruby kamień. Prezesowa na przywitanie podała mi końce palców i zaledwie raczyła mnie sobie przypomnieć! Jakaś *de domo* Owsikiewiczówna z Psiej Wólki, a robi margrabinę.

Zebrało się ze czterdzieści osób, przeważnie miasto. Błądziłem samotnie po salonach; wszędzie wielki szyk, złoczone meble, kwiaty, srebrne kandelabry, dywany, służba w liberyach, a wypadało po sucharku na dwie osoby. Miałem czas na obserwowanie, bo nikt się mną nie zajmował. Zjawily się i jakieś tartinki, ale przeleciały takim galopem, że zaledwie dostało się co piętemu.

Rzędy portretów rodzinnych na ścianach, a może tak samo wynajęci na dzisiaj, jak i lokaje. Kwaszkowscy, musi to być jakaś wielka parafialna dynastia!

Były też dwie nadzwyczajnie szykowne facetki—cisnęły się do nich, jakby do ołtarzy, i bezczelnie oblagowywali. Kobiety są dziwnie łakome na takie głupie zawracania głowy, a co jeszcze dziwniejsze, że im wierzą. Wstydzilem się za nie, tem bardziej, że słyszałem, jak ci sami je przedtem obgadywali. Zwłaszcza jakiś starszy pan w monoklu, który dosyć głośno zwierzał się przed wymiękłym młodzieńcem z rozłupaną główką, że jedna z tych pań, doktorowa, ma nadzwyczajny pieprzyk pod lewą piersią...

Koronny świniuch! Co prawda, to i na kolei nie brakuje takich ananasów!

Przysiadłem się do starszych pań; obejrzały mnie przez binokle, jak małpę w klatce, i rozprawiły dalej. Nie wiedziałem, co zrobić ze sobą, i już miałem odejść, gdy jakaś matrona o czterech podbródkach zwróciła na mnie oczy i pyta:

— A z jakich to dobrodziej Pełków?

Myślałem, że mnie szlag trafił! Dopiero potem przyszła mi doskonała odpowiedź, ale było już za późno. Miałem jeszcze jedną przykrą chwilę. Zajrzałem do gabinetu, gdzie grali w karty, i zobaczyłem naszego rotmistrza, więc się pytam znajomego:

— A ten co tutaj robi?

— Gra w karty, jak pan widzi.

Obejrzał się podejrzliwie i, odciągawszy mnie na stronę, powiedział tajemniczo:

— To nie jest bez kozery! Podobno tam w górze powiał jakiś przychylniejszy wiatr, prezes bada sytuację, uważa pan dobrodziej, maca... Ho, ho! to dyplomata, bismarkowska głowa!

— Ja widzę tylko ordynarny ryj!—odpowiedziałem zirytowany.

Oniemiał ze zgrozy i oburzenia, pokiwał głową i odskoczył ode mnie jak, od zarażonego.

Cóż tam ja? Szlachecka resztką, jak mawiał Buczek, zwykły kolejowy pachol,—ale nawetby mi na myśl nie przyszło zrobić coś podobnego! Dyplomata od siedmiu bołoci!

Wyniosłem się zaraz. Lokaj nie podał mi palta—udawał, że mnie nie spostrzegą.

Posiedziałem w cukierni, ale kiedy i tam nie było zabawniej; kawa pod psem, bilard, jak magiel, a dowcipy pogrzebowe. Te same twarze, te same kawały i ten sam Raciborski, który zawsze tak samo łąze i tak samo naciąga.

Nie wiem, jak ja dłużej wytrzymam, nie wiem!

Czwartek. Znowu deszcz; mży, sączy się, kapie, ścieka i przejmuję do kości.

Dzisiejszy ekspres był natłoczony, wszyscy uciekają na południe!

Mój Boże, za dwa dni zobaczą Włochy, morze, słońce i zielen!

Psiakrew, a mnie o tem nawet marzyć nie wolno, nie wolno!

Opowiedziała mi dzisiaj pod wielkim sekretem panna Marychna,

że właściciel bufetu codziennie dostarcza zawiadowcy wszystkiego, co mu tylko potrzeba do kuchni, a zamiast otrzymuje węgiel, światło i różne rzeczy! Przecież to zwyczajne złodziejstwo!

A co gorsze, iż wszyscy uważają to za zupełnie naturalne,—bo kiedy coś o tem wspomniałem mojemu ekspedytorowi, roześmiał się tylko i powiedział:

— Każdy orze, jak może! Byłby głupi, żeby nie brał! A pana jeszcze to dziwi?

— Tak, mnie to dziwi, a jeszcze bardziej oburza.

— To wyleczalne... Każdy na to choruje, ale przyjdzie sposobność—i jeden, drugi rubelek wleci do kieszonki, to i po krzyku! Żaden pieniądz nie śmierdzi, ręczę panu!

On się zna na tem, stary praktyk! Oto są zasady porządných ludzi, ojców rodzin,—a kto takich nie wyznaje, ten całe życie bieduje i siedzi u Zuga w kieszeni!

Piątek. Deszcz, mgła i nuda! Boże, jaka nuda! Ruszyć się nigdzie nie podobna, bo wszędzie oceany błota! Nawet gazety są puste dzisiaj i nudne!

Do zawiadowcy przyjechała znowu jakaś panna; słyszę ją od samego rana—gra gamy,—przeciekają przez sufit i sączą mi się na głowę, niby krople monotonnej, usypiającej nudy; gra jedno i to samo, jakby różaniec nigdy nieskończony; gra z uporem, równo, mechanicznie, jednostajnie, że chwilami muszę skandować, jak to robią dzieci: „Jadą woły do stodoły! Do stodoły jadą woły! Jadą woły do stodoły“!.. i tak w kółko, i tak całymi godzinami, aż do zaśnięcia lub szaleństwa!

A żeby cię pokreśliło!

Dobrze przewidziałem: naczelnikowa urzędza w niedzielę proszoną herbatę, bufet już dostał polecenie na dostawę przekąsek i napitków—będzie nadzwyczajna wyzerka, ale ja nie pójdę. Chociaż, co mnie to obchodzi, skąd oni biorą! Nie jestem bocianem...

A tamta wciąż gra, bez przerwy, bez zmęczenia, bez folgi, bez miłosierdzia.

„Jadą woły do stodoły! Do stodoły jadą woły!“ Już w głowie mi się kręci od tego brzęczenia.

Sobota. Miałem scenę, po której nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać!

Rano przychodzi Soczek do kasy i zaraz od proga zaczyna:

— Mam z panem na pieńku! Musimy się rozmówić...

Zrobiło mi się na sercu bardzo głupio; sądziłem, że już wie o wszystkim i przyszedł się ze mną porachować... Na wszelki wypadek chwyciłem za żelazną linię i czekam, a on stanął naprzeciwko i wyrzekł prawie ze łzami:

— Co panu złego zrobiła Zosia? Dlaczego się pan gniewa i nie przychodzi do nas?

Zgłupiałem, wziąłem to za żart i za początek czegoś gorszego.

— Bo pan nawet się nie domyśla, co się teraz u nas dzieje!—ciągnął coraz smutniej.—Zosia wyrzeka na pana, płacze po całych dniach i nocach i wyschła już ze zmartwienia, jak szczapa. Pytam się, co jej jest... Ani słowa! Pytam się po raz drugi, a ona mi na to: „Niech ci powie pan Józef“. I dostała takich spazmów, że musiałem posyłać po doktora! A potem, kiedy się uspokoiła, powiedziała mi, że pan się na nią pogniewał i dlatego nie przychodzi do nas! Przyznaję się, że zły byłem na pana, jak dyabli. Przecież od tygodnia nie jadłem w domu obiadu, bo co przyjdę, to płacze, szloch i pogrzebowe miny, że, psia twarz, żreć się już człowiekowi odechciewa. Ten szturmak, Magdzia, też ryczy po kątach, nawet pieski chodzą osowiałe i tylko skamlą! Mój panie Józiu, przecież tak się nie godzi krzywdzić przyjaciół! Niechże się pan na nią nie gniewa! Nagadała na pana, czy co? To ja pana za nią przeproszam z całego serca. Widzi pan, ona taka prędką i roztrzępana, że nieraz bez zastanowienia chlapnie ozorem, jak zresztą każda kobieta, i z tego potem wychodzą głupie historie; ale w gruncie rzeczy, ma złote serce i do pana przywiązała się, jak do brata. Opowiadała, jak to nieraz czytywał pan jej całymi wieczorami, a teraz

siedzi biedaczka sama i nudzi się. Pan wie, jaką ja mam psią służbę, że często nie mam nawet czasu z nią porozmawiać! A nuda, panie, to zły dla kobiet doradca! Pocziwe kobiecisko z kośćcami, przywiązana do mnie serdecznie, ale młoda, niedoświadczona, i pokusy czyhają na każdym kroku! Niechże się pan na nią nie gniewa!

Tak mnie policzkowało każde jego słowo, że byłbym się schował pod ziemię, że byłbym nawet wołał, żeby mnie uderzył, a ten idyota z godzinę się wywnętrzał przede mną, aż się w końcu popłakał, wycalował mnie, poszliśmy na wódkę, no, i musiałem mu obiecać pod słowem honoru, że jutro przyjdę do nich na obiad.

Postępuję, jak świnia, wiem o tem, wstydzę się tego, ale zrobiło mi się ich żal!

A przytem już się strułem bufetowemi obiadami, a panna Marychna jeszcze głupsza i nudniejsza.

Zupełnie szczerze nie chciałem go oszukiwać, a sam zmusza mnie do tego...

Zresztą, będę się od niej trzymał zdaleka, na dystans przyjacielski.

Tylko mi teraz przykro, że postąpiłem z nią za brutalnie. Muszę to jakoś naprawić. Co prawda, to i mnie nikt nie głaszcze z włosem, a los też się ze mną nie pieści.

Mój Boże, dziadek był senatorem, ojciec jeszcze panem na stu chłopach, a ja już tylko kolejowym oficjalistą! Zjeżdżamy galopem! Ciekaw jestem, czemu by był mój syn? Chyba gałąnierzem! A na wnuka jużby zupełnie nie było miejsca na świecie! Może to i lepiej, że takie „resztki szlacheckie“, jak mawiał Buczek, dyabli wymiatają do czysta! Chamstwo, z nami czy bez nas, i tak zaleje cały świat!

Dzisiaj szabas, ruch był niewielki, a mimo to przeszło dwa tysiące wysłałem do kasy!

Dla kolei to mucha, prawie nic!

Noc na niedzielę. Znowu jestem na służbie, mój szef zachorował i muszę go zastępować! Tak cicho na stacy! Wspaniała pogoda szykuje się na jutro, niebo czyste

i rozgwiazdzone, drzewa obwalone szronem, przymrozek i tak cicho, że słycać szczekanie psów gdzieś po wioskach! Przejrzałem wieczorowe gazety—same zbrodnie, kradzieże i wypadki! Niektóre są wprost zastanawiające swoją potwornością i odwagą!

Nie mam roboty, a muszę tutaj bawić do rana; wszędzie pusto i sennie, w oknach ciemno, śpią, tylko w telegrafii czuwają dyżurni, a pociągi wciąż lecą, słycać je zdaleka, ziemia dudni pod kołami, szyny brzęczą, w dalach błyskają światła, jak wilcze ślepia—przelatują stacyę, niby huragany; wagony, pełne ludzi, zamigotały oknami, świsty rozpruły powietrze, rozsypały się długie warkoczce dymów i iskier, i znowu lecą dalej, lecą niepowstrzymanie. Upaja mnie już sam lot tych potworów z ognia i żelaza.

Upajam się, a muszę tylko patrzeć, jak o każdej porze dnia i nocy, na wszystkie strony świata i wszystkimi pociągami inni gdzieś jadą, inni się śpieszą, inni...

Przecież sam, dobrowolnie wdeptałem się w ziemię, przykułem się na łańcuch i nałożyłem na siebie żelazny kantar — to mogę chociaż zawyc z tęsknoty, to mi wolno!

Żeby można zabić w sobie wszelkie marzenia, byłbym zupełnie szczęśliwy!

Zimno na dworze—uspokoilem się jednak; do pociągu mam jeszcze z godzinę—idę spać!

Niedziela. W tej chwili otrzymałem list Mikada z Paryża!

Boże, co się ze mną dzieje! List na ośmiu stronach! Oszaleję! Oszaleję!

Rzucił notes w kąt i więcej już nie pisał!

DCN.



OGRÓD ALLAHA.

48

— Może pan zapali jeszcze na drogę cygaro.

— Jest pani, prawdziwie, na-
zbyt dobra... ale, owszem... nigdy
nie odmawiam dobrego cygara...
a te, na honor, są...

Potań zapałek o podeszwę swe-
go wielkiego buta. Zachowanie je-
go stało się znowu jowialnem. Do-
mini dała jeszcze cygaro i dla żo-
nierza.

— Dobranoc pani. Do jutra
tedy, do jutra! Mam nadzieję, że
mąż pani wydobrzeje do jutra. Do
widzenia.

Światło znów się zakołysało
nad zaspami i wsiąknęło w nie na
drodę do miasta. Wtedy Domini
przeszła przez piasek do sypialnego
namiotu.

— Borysie!

Stała u drzwi namiotu sypial-
nego. Nie odpowiadała.

— Borysie!

Wyszedł z dalszego namiotu,
który służył, jako gotowalnia, nio-
sąc palącą się świecę w rękę. Po-
dążyła ku niemu z ruchem szybkiej,
gorącej serdeczności.

— Żle ci się zrobiło w mieście.
Jakże Batucz mógł ci pozwolić po-
wracać samemu?

— Wołałem być sam.

Postawił świecę na stole i tak
się poruszył, że światło upadło na
jego twarz. Ujęła serdecznie jego
ręce. Lecz w rękach jego nie zna-
lazła odpowiedzi. Spoczywały w jej
dłoniach, prawie jak rzeczy bez-
duszne. Mimo to, nie były zimne,
płonęły żarem.

— Masz gorączkę! — rzekła. —
Skronie twe płoną, a puls... jakżeż
bije! Jak młotem! Trzeba...

— Nic mi nie trzeba, Domini.
zbytecznie.

Zamilkła. W głosie jego był
dźwięk beznadziejności, który ją
przeraził.

— Poco ksiądz przyszedł tu
wieczorem? — rzekł.

Stali oboje, lecz obecnie on
siadł ciężko w fotelu, uwalniając
swe ręce z jej rąk.

— Po prostu... czyniąc akt zwy-
klej grzeczności.

— Wieczorem?

Mówił podejrzliwie. I znów
stanął jej w myśli Mogar. Uczucie
przykre, iż jest otoczona tajemnicą,
znów ją stłoczyło. Dla natury szcze-
rej i mocnej, jaką była, stawało się
to nieznośnem. Było to, jak wy-
ziew trujący, — dusiła się w nim.

— Ach, Borysie! — zawołała

głucho — dlaczegoż nie miał przyjść
wieczorem?

— Uważasz, że to rzecz zwy-
kła?... A czy pytał cię o co?

— Czy pytał?

— Widzę na stole... kawę... i...
i likier.

— No, tak... przyjąłem go ka-
wą i...

— Czy pytał cię o co?

— Ależ, Borysie, jakże mógł?

Po chwili milczenia rzekł:

— No, tak! oczywiście.

Poruszył się w fotelu, założył
nogę na nogę, oparł ręce na porę-
czkach i rzekł w dalszym ciągu:

— O czem tedy mówiliście?

— Trochę o Amarze.

— To wszystko?

— Nie długo bawił, zanim przy-
szedłeś...

— Oh!

— Powiedział mi atoli jedną
rzecz, która była straszną — dodała,
posłuszna instynktowi mówienia za-
wsze przed nim całkowitej prawdy.

— Straszną! — rzekł Androwski,
rozkrzyżowując nogi i naprzód się
podając w fotelu.

— Tak jest.

— Cóż to takiego? Zbrodnia
tu jaka?

— Ach, nie! To dotyczyło te-
go likieru, który widzisz na stole.

Androwski siedział w fotelu
ogrodowym. Gdy rzekła te słowa,
fotel zatrzęszczał pod gwałtownym
ruchem, jaki uczynił.

— Cóż tu może być... jakąż
rzecz straszną może mieć związek
z tym likierem? — zapytał, mówiąc
powoli.

— Likier ten jest sporządzony
przez mnicha, trapistę...

Powstał z fotela i wyszedł na
otwór namiotu.

— Co ci? — poczęła, sądząc, że
może silniejszy ból głowy go dojął.

— Nic, nic. Chcę być na po-
wietrzu. Tu za gorąco. Zostań,
gdzie jesteś, Domini, i... no, i co
dalej?

Postąpił krok na piasek i stał
tuż za namiotem w jego cieniu.

— Likier ten jest wynalazku
mnicha trapisty z klasztoru w El-
Largani, mnicha, który zbiegł. Otrzy-
mał już wszystkie święcenia. Bawił
w klasztorze z górą dwadzieścia lat.

— Ksiądz mówił... że... onzbiegł?

— Tak jest.

— Dokąd zbiegł?

— Nie wiem. Przypuszczam,
że i on nie wie. Ale nie o to cho-
dzi. Cała groza płynie stąd, iż

porzucił klasztor i złamał śluby
wieczyste... śluby, jakie Bogu uczynił

Po chwili, przez którą oboje
nie mówili, a Androwski stał bez
ruchu na piasku, dodała:

— Biedny on!

Androwski postąpił krok ku
niej i zatrzymał się.

— Dlaczegoś to powiedziała,
Domini?

— Myślę o męce bezbrzeżnej
tego człowieka, jeżeli on żyje jeszcze.

— O męce?

— O męce ducha i serca. Ja
wiem o tem, Borysie, iż pod nie-
którymi względami nie możesz czuć
tak, jak ja... ale...

— Ale?

— Borysie! — Wstała i podeszła
ku drzwiom namiotu, lecz nie prze-
szła na stronę piasku. — Ja mam na-
dzieję, że kiedyś może...

Zamilkła, patrząc ku niemu
szczeremi, otwartemi oczyma.

— O męce ducha? — rzekł An-
drowski, wracając do jej słów. —
Zatem ty, Domini... ty masz współ-
czucie dla tego człowieka?

— A ty... czyż nie masz go?

— Ja... a cóż mnie to może
obchodzić? Pocóż mamy się tem...

— Wiem. Czasami atoli ma
się współczucie dla ludzi, których
się nigdy nie widziało i nigdy nie
zobaczy, gdy się usłyszy o nich
coś tak bardzo strasznego...

Urwała. Po chwili, podczas
której on nic nie rzekł, mówiła
dalej:

— Wierzę w to, że i ksiądz
musiał czuć coś w tym samym ro-
dzaju. Nie chciał pić likieru, który
wyszedł z pod rąk tego człowieka,
choć miał wielką ochotę.

— Tak... lecz ksiądz dla in-
nych może powodów — rzekł An-
drowski głosem surowym; — księża
mają tak dziwne zasady. Czasami
sądzą nazbyt ostro, nazbyt okrutnie.

— Być może. W każdym ra-
zie nie ten ksiądz. Jego wada do-
tyczyłaby chyba przeciwnego.

— Przeciwnego?

— Zbyt wielkiej pobłażliwości.

— Czyż można być zanadto
pobłażliwym dla swego bliźniego? —
rzekł Androwski.

W głębokim głosie jego był
dziwny dźwięk wzruszenia, który ją
przejął wskrósł. Zdało jej się — nie
wiedziała, dlaczego — że wykrada
się on od głębin czegoś, co stwo-
rzyło ich miłość wzajemną.

— Największa pobłażliwość — to
pobłażliwość Boska — rzekła. — Je-
stem tego pewna.. pewna zupełnie.

Androwski wyszedł z cienia
namiotu ku jego środkowi, ujął
z pasyą uczucia jej ręce, złożył
z pasyą uczucia swe wargi na jej
wargach, z siłą, i z ogniem płoną-

cym, i z wielką, mocną czułością, która była mocną, bowiem była wzbiana.

— Niech Bóg cię błogosławi! — rzekł. — Niech Bóg cię błogosławi! Cobądź ci życie zesła, On wreszcie błogosławić ci będzie.

— On już mi pobłogosławił — rzekła szeptem, poprzez łzy, które ruszyły z jej oczu, od źródeł wzbudzone jego raptownym wylewem miłości ku niej. — On już mi pobłogosławił. Dał mi ciebie, twą miłość, twą wiarę.

Androwski porывczo, jak był ją ujął, wypuścił z ramion, obrócił się i poszedł w pustynię.

XXIV.

Spełniając obietnicę, ksiądz przybył na drugi dzień dowiedzieć się o zdrowie Androwskiego. Zdąrzyło się, że przybył właśnie, gdy nakrywano do śniadania, i zastał Androwskiego na piasku przed namiotem.

— Zatem niema gorączki, proszę pana? — rzekł, gdy uścisknęli sobie dłonie.

— Nie — odrzekł Androwski. — Jestem już prawie zdrów zupełnie.

Ksiądz spojrział na niego z badawczością, nie krępując się zgoda.

— Czy dawno pan bawisz w pustyni? — zapytał.

— Od kilku tygodni.

— To upał zmógł pana. Poznają po wyglądzie...

— Ależ mogę zapewnić księdza, że jestem przyzwyczajony do upałów. Całe życie spędziłem w Afryce północnej.

— Być może. Mimo to, sądząc z wyglądu, wnoszę na pewno, że pan potrzebujesz zmiany klimatu. Klimat Sahary przewspaniały, niektórzy jednak...

— Nie należę do nich — rzekł Androwski porывczo. — Nigdy się nie czułem tak silnym fizycznie, jak... kiedy żyłem w piaskach.

Ksiądz wciąż patrzył na niego uważnie, lecz nie rzekł już nic o jego zdrowiu. Zresztą uwagę jego pochłonał niezwłocznie za tem Uardi, niosący potrawy z namiotu kuchennego.

— Przykro mi, doprawdy, żem przybył w porze tak niewłaściwej — usprawiedliwił się, spoglądając na zegarek, — atoli tu w Amarze jesteśmy... to pewne...

— Mam nadzieję, że zechce ksiądz zostać na śniadaniu — rzekł Androwski.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony. Obawiam się atoli, czy...

— Proszę, niech ksiądz zostanie.

— Zatem... z przyjemnością.

Poruszył ustami w przedsmaku,

ku, jak gdyby tylko wzgląd grzeczności wstrzymywał go od młaśnięcia. Androwski postąpił ku sypialnemu namiotowi, gdzie Domini, która była w mieście, myła ręce.

— Mamy księdza w gościnie — rzekł. — Prosiłem, żeby został na śniadaniu.

Spojrziała na niego ze szczerem zdumieniem w ciemnych swych oczach.

— Ty, Borysie?

— Tak jest, ja. Dlaczegożbym nie miał?

— Nie wiem. Lecz zazwyczaj stronisz od ludzi.

— To, zdaje się, dobry gatunek człowieka.

Patrzyła wciąż na niego z pewnym podziwem, a nawet z ciekawością.

— Widzę, że masz słabość do tego księdza — rzekła z uśmiechem.

— Dlaczegożby nie? To człek całkiem niepodobny do księdza Roubiera, bardziej ludzki.

— Ksiądz Beret jest bardzo ludzki, widzi mi się — odpowiedziała.

Wciąż się uśmiechała. Przyszło jej właśnie na myśl, że ksiądz przedsięwziął tę wizytę z jakąś misją, z góry zamierzoną.

— Już idę — dodała.

Ogarnęła ją raptowna wesołość. Cały ranek, po złej nocy, była poważną, a nawet zgnębioną. Gdy mąż jej opuścił ją wczoraj raptownie i poszedł sobie w ciemność, na duszę jej napłynęła fala ostra, mrocząca i trwała całą noc. Obecnie, gdy usłyszała go mówiącego w blasku słońca i dowiedziała się, że zaprosił gościnie miłego księdza, na sercu stało się jej odrazu lżej, choć sama nie wiedziała, dlaczego. Było to, jakgdyby była nieco chorą i jakgdyby chmura, która ją była opętała, uniosła się, odkrywając błękit.

Przy śniadaniu orzeźwiła się jeszcze bardziej. Mąż jej zachowywał się z księdzem, tak, jak jeszcze dotąd nie widziała, by się z kim zachowywał. Zrazu poczęła od starań, żeby być przyjemnym: to było widocznem. Obecnie atoli stał się bardzo przyjemnym bez wysiłku. A gdy wreszcie ksiądz Beret powstał, żeby odejść, Androwski oświadczył, że pragnie go odprowadzić kawałek drogi. Wyszli tedy razem w najlepszej komitywie.

Była zachwycona i przyjemnie zdziwiona. Miała tedy rację. Nadszedł czas, że Androwski uległ innemu wpływowi, niż wpływ niezaludnionych obszarów. Nadszedł czas, że wszedł w porozumienie z człowiekiem, którego dusza była bardziej z nim krewną, niżli dusza arabów, z którymi jedynie obcował.

Poczęła wyobrażać go sobie w ogniskach cywilizowanych, była już zdolną wyobrazić go sobie. I rada była, że przybyli tu, do Amary, i utrwaliła zamiar pozostania tu dłużej. Tak! wszystko będzie dobrze. Nadejdzie czas — o, jak pożądany! — gdy uczuje, że zdrowie jego duszy odpowiada w pełni zdrowiu jego ciała.

— Batucz! — zawołała prawie radośnie.

Batucz zjawił się, palący tęsknie papierosa i z wielkim kwiatem u gałęzi, która sterczała mu z za ucha.

— Osiodłaj konie, Batucz! Pan poszedł z księdzem. Pragnę się trochę przejechać.. dokoła obozów, tamtędy, do bramy miejskiej, poprzez plac i do domu. Pojedziesz ze mną.

Batucz energicznie odrzucił papierosa. Jakkolwiek był poetą, wszystka krew arabska zagrała w nim na myśl o cwałowaniu konno. Nie upłynęło kilku minut, jak byli już na koniach. Gdy Domini była już na siodle, trudno jej było być wtedy smutną lub zamyśloną. Namiętność do konia była jej namiętnością przyrodną, a jazda konno — jedną z największych, jeżeli nie największą przyjemnością jej życia. Gdy miała pod sobą rumaka z ogniem i z duszą, czuła się wtedy władną, a puste obszary pustyni wzniecały pęd, wzniecały sny. Pomknęła szybkim krokiem wraz z Batuczem, okrążyli cmentarz arabski, skręcili ku południowi, a potem cwałowali już środkiem obozu Uled-Nail. Była to godzina siesty. Czysta leniwa zaległa obóz. Zatem podjechali do bramy miejskiej, przez którą po raz pierwszy wchodziła do Amary. Tu znajdował się dom księdza, a Androwski był razem z księdzem. Przypuszczała, że może wstąpił do niego, oddając mu wizytę. Gdy wjeżdżała do miasta, spojrziała na dom. Drzwi były otwarte i w przedpokoju ujrzała jaskrawe dywaniki. Miała wielką ochotę zatrzymać się i zapytać, czy niema tu jej męża. Mógłby wsiąść na konia Batuczowego i jechać z nią razem do domu.

— Batucz — rzekła, — idź i zapytaj, czy niema u księdza Bere-ta pana Androwskiego. Przypuszczam, że...

Urwała na słowie. Ujrzała bowiem w tej chwili na tle okiennego otworu z prawej strony drzwi przedpokoju twarz swego męża. Nie mogła jej widzieć dokładnie. Arkada nad domem rzucała mocny mrok na wewnątrz, a w mroku tym lico zamigotało, jak cień. Batucz zeskończył z konia. Widok atoli zacięnionej twarzy odmienił jej zamiar.

Postanowiła nie przerywać im obcowania. Dawniej, w Beni-Morze, prosiła Androwskiego, żeby poszedł do księdza. Przypomniała sobie, jakie to pociągnęło następstwa. Obecnie Androwski poszedł z własnego natchnienia. Kto wie, może zaprzyjaźnią się z sobą... może... Przypomniała jej się widzenie w domu tanecznym i to jej uczucie, gdy nadjeżdżali do Amary, że nadjeżdżali do serca pustyni. Gdyby Androwski mógł się tu pomodlić! Książę Beret zdawał się być człkiem, który mógł mieć wpływ na jej męża, lub w każdym razie kimś z duszą mocną i seryo.

— Nie, Batucz — rzekła. — Nie zatrzymamy się.

— Ale, proszę pani — zawołał — pan jest tutaj. Widziałem pana w oknie.

— Pomimo to. Nie będziemy im przeszkadzali. Przypuszczam, że mają sobie coś do powiedzenia.

Pocałowali ku rynkowi miejskiemu. Gdy wjeżdżała na wzgórek naprzeciw placu, na którym stała fontanna, ujrzała dwóch pięknie ubranych arabów w towarzystwie służącego, ciągnących powoli ku niej od wrót urzędu arabskiego. Jeden z nich, wielkiej postawy, był ubrany w zielone szaty i niósł wielki pastorał, z którego zwieszały się zielone wstążki. Drugi miał ubranie białe pospolitsze, biały burнус i turban, usiany złotem.

— *Madame!* — zawołał Batucz.

— Co takiego?

— Czy widzi pani tego araba w zielonem?

Mówił głosem pełnym bogo-bojności.

— Widzę. Któż to taki?

— To wielki marabut, który mieszka w Beni-Hassan.

Nazwa ta obita się o uszy Domini z dziwną swojskością.

— Ależ to jest miejscowość, dokąd pojechał wtedy rankiem z Beni-Mory hrabia Anteoni!

— Tak jest, proszę pani.

— Daleko to od Amary?

— Dwie godziny jazdy poprzez pustynię.

— Tedy hrabia Anteoni musi być blisko nas. Od czasu, jak odjechał, pisał do mnie i dał mi swój adres: w domu marabuta.

— Chodzi o to, czy jeszcze bawi wciąż u marabuta, proszę pani.

Byli teraz w pobliżu fontanny, a marabut i jego towarzysz szli prosto ku nim.

— Jeżeli pani pozwoli, pójde pozdrowić marabuta.

— Idź, oczywiście.

Zeskoczył z konia, przywiązał go w okamgnieniu do kraty, ogra-

dzającej fontannę, i szedł z pełnym szacunkiem ku zbliżającemu się wielmoży, by ucałować jego rękę. Domini ujrzała, jak marabut zatrzymał się, jak Batucz się pokłonił, a potem wyprostował się i ruszył nieco w tył, jak zdziwiony. Arab, który towarzyszył marabutowi, zdał się być także zdziwionym. Przeciągnął rękę Batuczowi, ów ujął ją, pocałował, a potem pocałował swoją rękę i, zwracając się, wskazał ku Domini. Arab powiedział coś marabutowi, zatem opuścił go i podążył szybko ku fontannie. Gdy już był blisko, Domini ujrzała lico, ogorzałe od słońca, małą spiczastą brodę, dwoje przenikliwych jasnych oczu, osnutych zmarszczkami. Oczy te przykuły jej uwagę. Zdało jej się, że zna je z kądś, że często patrzyła w nie i widywała ich wyraz zmienny. Naraz zawołała:

— Hrabia Anteoni!

— Tak, to ja!

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. — Tak tedy wyruszyła pani w podróż do pustyni — dodał, patrząc na nią uważnie, jak to nieraz był czynił w swym ogrodzie.

— Tak jest.

— I jak to ja ważyłem się doradzać... ostatnimi czasy, pamięta pani?

Przypomniała jego słowa.

— O, nie — odparła, a w głosie jej było ciepło radości, a nawet dumy. — Nie jestem tu sama!

Hrabia Anteoni stał z ręką wspartą na szyi konia. Gdy rzekła to, ręka opadła.

— Byłem zdala od Beni-Hassan — mówił powoli. — Podróżowaliśmy wraz z marabutem w południowej stronie i przedwczoraj za ledwie powróciliśmy. Oddawna nie doszły mnie wieści z Beni-Mory, wiem atoli. Jest pani... panią Androwską.

— Tak jest — odrzekła. — Jestem panią Androwską!

Zamilkli oboje. Śród tego milczenia słyszała krople wody, opadające w fontannie. Wreszcie hrabia Anteoni począł znowu:

— To było sążone — mówił powoli. — Tak było zapisane w piasku.

Przez myśl jej przesunął się wróżbita z piasku. Zamilkła. Spadło na nią raptownie brzemień smutku, troski, niepokoju. Przez chwilę straciła prawie świadomość, gdzie była i z kim była. Wrażenie to minęło, przyszła do siebie i spojrzała spokojnie na Anteoniego. Oczy ich się spotkały.

— Tak jest — odrzekła — wszystko, co mi się tu przytrafiło w Afryce — było zapisane w piasku i w ogniu.

— Pani ma słońce na myśli?

— Tak jest.

— Ja... a gdzie tu państwo mieszkacie?

— U muru miastowego, na wzgórkach, stąd niedaleko.

— Skąd może pani widzieć ognie wieczorne i słyszeć dźwięki muzyki afrykańskiej.

— Tak jest.

— Jak było powiedziane.

— Tak jest. Jak było powiedziane.

I znowu przewładne uczucie czegoś dawnego i czegoś strasznego zawisło nad nią tuż blisko; tym jednak razem odżongła je rezolutnie.

— Czy odwiedzi mnie pan? — rzekła.

Miała zamiar powiedzieć „nas“, powiedziała atoli „mnie“.

— Jeżeli pani pozwoli.

— Kiedy?

— Właściwie... — Usłyszała ów dziwnie oschły i twardy ton w głosie, który tak dobrze pamiętała. — Czy mogę teraz, jeżeli pani jedzie do namiotów?

— Bardzo proszę.

— Przepraszę tylko marabuta i zaraz nadążę za panią.

— Ale nie znasz pan drogi. Batucz!

— O, to zbyteczne.

Domini pojechała. W obozie stwierdziła, że Androwski jeszcze nie wrócił, i była rada z tego. Chciała pomówić z hrabią Anteonim na osobności. Nie upłynęło kilka minut, jak ujrzała go zbliżającego się ku namiotom.

— Mój mąż bawi jeszcze w mieście — rzekła.

— Tak?

— Z księdzem.

Ujrzała, jak po twarzy hrabiego Anteoniego przemknął wyraz zdziwienia. Natychmiast atoli zniknął.

— Z księdzem Beretem — rzekła. — To jeden z najmilszych ludzi i przytem bardzo dobry dla arabów.

Siedzieli właśnie w cieniu namiotu wewnątrz u drzwi i patrzeli spokojnie na miasto.

— Tak jest, to jest ta miejscowość — rzekł.

Wiedziała, że czyni aluzję do widzenia wróżbity z piasku, mówiąc te słowa.

— Czyś pan wierzył wtedy, że to, co on mówi, stanie się kiedyś? — zapytała.

— Cóż znowu! Czyż jestem dzieckiem?

Mówił z ironią wytworną, czuła jednak, iż droczy się z nią.

— Czyż człek dojrzały nie może w to wierzyć?

Nie odpowiedział jej na pytanie, lecz rzekł:

— Mój los się spełnił. Czy nie ciekawa pani usłyszeć, w jaki sposób? — Proszę bardzo, niech pan powie.

Mówił poważnie. Uczuła zmianę, wielką zmianę, której atoli nie mogła jeszcze w pełni zrozumieć. Było to tak, jak gdyby dotychczas był człowiekiem, co wątpi, a obecnie już nie miał wątpień, jak gdyby przybił do jakiegoś celu i zdobył wreszcie spokój, którego dotychczas nie zaznał.

— Zostałem mahometaninem — rzekł poprostu.

— Mahometaninem!

Powtórzyła wyraz, jak ktoś, co powtarza wyraz w zdumieniu, głos jej atoli nie wyrażał zdumienia.

— Panią to dziwi? — zapytał.

— Po chwili odrzekła:

— Nie, nie myślałam nigdy o tem, nie jestem jednak żdziwiona. Teraz, gdyś mnie pan to powiedział, wyświetla mi to wiele z tego, com w panu obserwowała, co mnie w panu dziwiło.

Spojrzała na niego otwartemi oczyma, atoli bez zaciekawienia.

— Czuję, że jesteś pan teraz szczęśliwy.

— Tak jest, jestem szczęśliwy. Po latach niesnaski mam pokój odrazu zupełny. Uczucie to czarowne. Całe me życie tułałem się i otom przybił nareszcie do wrót mego domu.

Mówił spokojnie, w głosie jego atoli słyszala akordy radosne.

— Pamiętam, jak pan mówił: „Lubię patrzeć na modlących się w pustyni!” Dla tej racji porzucił pan Beni-More?

— Tak jest. Oddawna już pragnąłem zostać mahometaninem. Przybyłem tu, by być razem z marabutem, poznać lepiej niektóre punkty wiary, stwierdzić, czy nie mam jakich wątpiwości.

— I nie masz pan ich zgola?

— Zgola.

Spojrzała na niego jasnemi oczyma i westchnęła, pomyslawszy o swym mężu.

— Powróci pan do Beni-More? — zapytała.

— Nie sądzę. Mam zamiar pójść dalej w głąb pustyni, dalej... pomiędzy ludzi mej wiary. Nie chcę otoczenia francuzów. Z czasem wrócę, być może. Obecnie jednak coś mnie pcha naprzód, wciąż naprzód.

Naraz się opatrzył i powstrzymał.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł poprostu. — A teraz proszę mi mówić o sobie. Nie pisała mi pani, że wychodzi za mąż.

— Wiedziałam, że z czasem dowie się pan o tem... wtedy, kiedy się znów spotkamy.

— Wiedziała pani, że spotkamy się jeszcze w życiu?

— A pan nie wierzył w to?

— Skinął głową.

— W sercu pustyni. A państwo jakże... wracacie? Do życia cywilizowanego?

— Nie wiem jeszcze. Nie robimy planów. Będzie, jak zechce mój mąż.

— A on jak chce?

— Kocha pustynię, namawia mnie, by kupić tu oazę i handlować daktylami. Cóż pan powie na ten zamiar?

Mówiła z uśmiechem, oczy jej atoli były poważne, nawet smutne.

— Nie mam zdania w tym względzie — odrzekł.

Gdy już powstał, by odejść, ujął silniej jej rękę na chwilę.

— Czy mogę powiedzieć, co mam na sercu? — zapytał.

— Tak jest, proszę.

— Czuję, że to, com rzekł pani o sobie, o tem mojem zawinięciu do wrót domowych po długich latach uciążliwego szukania, obudziło w pani smutek. Czy tak jest?

— Tak — rzekła otwarcie.

— Czy może mi pani powiedzieć przyczynę?

— Uprzytomniło mi to silniej, jak wielką musi być niedola tych, którzy są wiecznie bez domu.

W głosie jej było coś, jak dźwięk powstrzymanego łkania.

— Proszę mieć ufność, proszę przypomnieć sobie tak długie lata mojej tułaczki.

— Tak... o, tak!

— Żegnaj panią!

— Czy nie odwiedzi nas pan jeszcze?

— Długo tu jeszcze zabawicie państwo?

— Kilka dni, jak przypuszczam.

— Kiedy tylko pani zażąda, przybędę.

— Chciałabym, żeby zobaczył się pan z moim mężem. Chciałabym tego bardzo — mówiła z żywością gorącą.

— Proszę przysłać po mnie: natychmiast przybędę.

— Przysię... wkrótce. DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

× Pamiętniki generała Chłapowskiego wyszły w tłumaczeniu francuskim, nakładem firmy Plon-Nourrit w Paryżu p. t. „Général Désiré Chłapowski, baron de l'empire. Mémoires sur les guerres de Napoleon, 1806—1813. Publiés par ses fils”. Przekład dokonali pp. Jan Chelmiński i komendant A. Malibran.

Z literatury francuskiej.

× J. H. Rosny. „Nymphée”. Jest to powieść w dwóch częściach, a raczej dwie bardzo długie nowele. Za tło dał autor jednej Azję środkową, drugiej zaś Afrykę. Zarówno tu, jak i tam, bohater uczestniczy w misji. Niezwykłe przygody, jakie mu się zdarzają, kraje i narody osobliwe, które odkrywa, stanowią treść obu opowieści, wyposażonych przez autora opisami, pełnemi bujnej wyobraźni i poezji.

× Helena Vacaresco. „Amor vincit”. Głośna swego czasu dama dworu literatki na tronie — Carmen Sylvy, królowej rumuńskiej — ma już swojej kartę w literaturze; napisała kilka udanych powieści, wydała po angielsku ciekawe studium obyczajów królewskich p. t. „Małzonka króla i przyjaciel królowej”, obecnie zaś wystąpiła z romansem francuskim p. t. „Amor vincit”, czyli Miłość zwycięża. Jakoż odniosła zwycięstwo nad trzema młodemi wdowami, które wiodą życie próżniacze, strojne, śliczne, podniecone rozigranemi zmysłami, chodzą z domu do domu, jeżdżą z miasta do miasta, z kraju do kraju, nie czyniąc prawie nic z tego, czego czynić nie należy, ale mówiąc wiele rzeczy takich, których mówić zabrania przyjaźń, prawosć, albo miłość. Te trzy wdówki są rumunkami, rodem z Bukaresztu. W wędrowce próżniaczej spotykają nareszcie dwóch francuzów, z których jeden prowadzi do ołtarza panią Despina, drugi stara się o względy pani Ileana — trzecia wdowa zaś, pani Aréthie, ma dyplomację na widoku.

Wartość tej nowej książki panny Vacaresco polega nietylko na zajmującej fabule, ile na pełnych życia i poezji opisach krajów i miejscowości, w jakich kolejno trzy łaknące wrażeń wdowy przebywały.

TREŚĆ NUMERU 48-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYJI I ADMINISTRACYJI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści”:
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chofoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Olbrzymi pożytek dla pp. Rolników i Hodowców.

Dla bydła, trzody chlewnej i koni

niezrównany w skutkach, niezastąpiony przez żaden inny preparat

„VIS”

Przez swój wyjątkowy skład chemiczny, preparat „VIS” zaostreza apetyt, powoduje lepsze trawienie, wzmacnia kości i muskulaturę zwierzęcia, zwiększa wagę i wydajność mleka, zapobiega chorobom etc. „VIS” przy stałym jego użyciu daje zdrowe, silne i tęgie okazy. Dodaje się do każdego karmu po jednej tylko łyżce. Dokładne prospekty na żądanie.

Fabryka preparatu „VIS” Inżynier St. Goldbaum
WARSZAWA, Złota № 46, telefon 110-32.